**Władysław Stanisław Reymont - Chłopi, Część pierwsza - Jesień**

[…]

Rychło obaj zasnęli.

A ze stajni obok położonej wołał Kuba słabym, schorzałym głosem, wołał długo, ale Witek spał jak kamień, dopiero Łapa, poznawszy głos, jął zajadle szczekać i targać za kapotę, aż przecknął.

— Czego? — mamrotał przez sen.

— Wody! Tak me rozbiera gorącość… wody!

Choć markotny był i śpik go morzył, zaniósł mu pełne wiadro i podstawił do picia.

— Takim chory, że ledwie zipię… co to warczy?

— A Łapa! Wróciło psisko od Antków!

— Łapa! — szepnął macając w ciemności za psim łbem, a Łapa wyskakiwał, szczekał i darł się na wyrko.

— Witek, załóż koniom siana, bo dzwonią zębami o pusty żłób, a ja się poruszyć nie mogę. Tańcują jeszcze? — pytał po chwili, gdy chłopak stoczył ze stropu siano i zakładał je za drabiny.

— Cheba na połednie skończą, a tak się niektóre popiły, że na drodze leżą.

— Używają se gospodarze, używają — westchnął ciężko. — Młynarze byli?

— Byli, ino rychlej poszli.

— Narodu dużo?

— Kto by ta porachował?… Aż się przelewało w chałupie.

— Przyjmowali suto?

— Kiej we dworze jakim. Mięso całymi michami roznosili, a co gorzałki wychlali, a co piwa, co miodu! Samych kiełbas były trzy niecki czubate.

— Przenosiny kiedy?

— A dzisiaj na odwieczerzy.

— Użyją se jeszcze, nacieszą się… Mój Jezu, myślałech, że jaką kosteczkę ogryzę i podjem se choć raz do sytu, a tu leż, zdychaj i nasłuchuj, jak się drugie zabawiają.

Witek poszedł spać.

— Żeby choć te oczy napaść… żeby…

Zamilkł znużony, żuł w sobie żałość, a jakieś ciche, nieśmiałe skargi jako te ptaszki ustałe, tłukły mu się po piersiach i boleśnie piukały.

— Niech im ta pójdzie na zdrowie, niech choć oni żyją… — myślał pogładzając psi łeb.

Gorączka mroczyła go coraz bardziej, więc jakby na odegnanie zaczął szeptać pacierz i Panu Jezusowemu miłosierdziu oddawał się gorąco na wolę i niewolę, ale zapominał słów, sen nań spadał raz po raz, a ciąg szeptów, nabrzmiałych prośbą i łzami, rwał się i rozsypywał niby czerwone paciorki, że chciał je zgarniać, tak widno toczyły się po kożuchu; zapominał jednak o wszystkim, zasypiał…

Budził się czasami, wodził pustym wzrokiem i nic nie rozeznawszy zapadał znowu, leciał w martwą, trupią ćmę.

To znowu jęczał i tak krzyczał przez sen, aż konie z chrapaniem rwały się na łańcuchach, trzeźwiał nieco i unosił głowy.